

---

---

## BUNT SŁOŃCA

Może w tem mieście jeszcze u zbiegu trzech alej,  
w narożnej kamienicy, jak pod szyldem sklepu,  
przystanie utrudzone z nieulęklým żalem —  
w pogoni za chmurami i bezmiarem stepów.

Może z dalekiej drogi po niebieskim szlaku,  
w tym domu, jak w hotelu odpocznie przez tydzień —  
na warzywnym straganie lub wśród sterty pakui,  
zdala od marzeń gwiazdnych i słonecznych widzeń.

Wreszcie nawprost parkanu i po szczeblach drabin —  
na piętrze, które bezkres wessał bezpowrotnie,  
w towarzystwie przygodnem kasztanów i grabi  
rozwieździ mrok podwórza mnożną ustokrotnień.

Wbrew nocom zatraconym i wszystkim południom  
bryzgać będzie jasnością od piwnic do strychu,  
i niewiedzieć dlaczego, jak żóraw nad studnią  
pochyli się nad sobą — ze starego sztychu.

A jeśli obok domu — w warsztacie blacharza,  
zabraknie może rynien, rdzą zżartych napozór,  
pierwszym oknem wyfrunie, jak królewski bażant,  
i wsiądzie do tramwaju lub miejskiego wozu.

I pozostanie tylko, ta jedna świadomość,  
którą będą obnosić po niektórych maglach,  
że w równaniach słonecznych z jedną niewiadomą —  
minęło siedm poranków, jak cienie od żagla.

*Edward Kozikowski*

## Z TOWARZYSZKĄ ŚMIERCIA

---

---

Na dalekich wędrówkach, jak z wyrwanej karty,  
wbrew pozorom i sobie, mijając dwa dni,  
spotkałem ją opodal — o pierwszej i czwartej —  
za tym węglem, gdzie słońce, jak latarnia lśni.

I sam nie wiem dlaczego — w spojrzeniu ku sobie —  
zagarnąłem to obce i tamto, jak cień,  
a może, by uśmiechem spotykanych kobiet  
do bezmiaru wieczności podnieść jeden dzień?

Wszak nie poto w wysiłku dźwignąłem, jak kamień  
całą wagę bezkresu na rozstaje dróg —  
przy barjerze tęsknoty lub okiennej ramie,  
by nocą grozić wichrom, jak napięty łuk.

I odtąd — z towarzyszką, to z prawej, to z lewej,  
zależnie od perspektyw i porannych mgieł,  
zdobywam ją dla siebie — bez łez i bez przewin —  
naprzekór przykazaniom uwiecznionych dzieł.

Błogosławiąc godzinie, której miejski zegar  
nie wskazywał nikomu w labiryncie lat,  
wiem ile cenić szczęście, którem w kości przegrał —  
w szeregu wymazanych z kalendarza dat.

Wbrew ciżbie ludzkich spojrzeń — z za węgieł kamień,  
zapatrzony, w tę linię kościołów i wież,  
władę cień towarzyszki — od sieni do sieni,  
jak zwęgloną na wietrze pochodnię i wszecz.

*Edward Kozikowski*